

Świat od spodu – 1

3 października 2018

„Angielski sen” się skończył. Dziś zaczynamy „Świat od spodu”. To będzie opowieść o tym, jak na Wyspach przeżyć. Ale przede wszystkim o tym – jak wygląda świat, o którym zadowoleni z siebie przedstawiciele klasy średniej nie mają pojęcia. Dziś publikujemy pierwszy odcinek tego cyklu.



Zwolniony za to, że ujawniał łamanie praw pracowniczych? Takie rzeczy jak widać zdarzają się nie tylko w kraju nad Wisłą...

Do Radlett dojechałem autobusem. Miałem jeszcze do przejścia jakieś pięć, sześć kilometrów. Ostatni pociąg uciekł mi sprzed nosa. Dosłownie. Podjechał gdy jeszcze zмагаłem się z biletomatem i mozolnie wbijałem litery: Elstree and Borehamwood. Wbiegłem na peron w momencie gdy już zamykały się drzwi. Szlag – pomyślałem i zrobiło mi się żal wrzuconych do automatu trzech funtów. Niby niedużo, ale przed godziną straciłem robotę, a po oddaniu długów zostało mi trochę ponad trzydzieści funtów. Trzy dychy na cały tydzień...

Musiałem pojechać okrężną drogą, bo po 22.00 nie miałem już żadnego, bezpośredniego połączenia do Borehamwood. Autobus do Radlett kosztował dwa funty osiemdziesiąt pensów, biletomat zażarł trzy czterdzieści. Wydałem ponad sześć funtów, a i tak

muszę zapieprzać z buta. Najgorsze, że prawie nie znam tej drogi, raz tylko szedłem wtedy ze znajomymi, ale byliśmy zajęci rozmową. Niewiele więc szczegółów zapamiętałem. Muszę przejść przez całą główną ulicę tego miasteczka, skręcić w lewo. Tylko gdzie? Miałem nadzieję, że jakiś detal przypomni mi w którym to było miejscu.

Wciąż miałem w głowie tę dziwną rozmowę z Petem i jego kuriozalną argumentację, że oni są zadowoleni z mojej pracy, ale to agencja postanowiła zerwać mój kontrakt. Minęła doba od mojej rozmowy z Davem i Alistairem. Mogli powiedzieć, żebym już nie przyjeżdżał, oszczędzili by mi przynajmniej kilka funtów i nocny bieg na orientację. Na szczęście nie było zimno, przynajmniej nie tak zimno jak poprzedniego dnia.

Spacer okazał się nawet całkiem przyjemny, a po drodze miałem czas by poukładać sobie wszystko w głowie. Opracowaliśmy z Grześkiem Walińskim nowy plan. I obaj zapaliliśmy się do jego realizacji. Projekt zakładał zmianę formuły „angielskiego snu” na prasowe reality shaw. Praca była ważnym elementem tego zadania. Jej utrata zmieniła jednak moje położenie. Muszę więc zdecydować czy mimo to podejmę ryzyko, czy też wracam do Polski? To ostatnie byłoby najprostszym ale i najrozsądniejszym wyjściem. Zamykamy cykl angielskiego snu, a ja wracam do kraju i rozglądam się za jakimś płatnym zajęciem.

Wariant pierwszy może wiązać się kilkudniowymi głodówkami, a przynajmniej niedojadaniem, ciągłym brakiem papierosów, życiem w ogromnym stresie, napięciu i wieczną niepewnością. Za pokój płacę 130 funtów tygodniowo, mam zaległość za jeden tydzień. Być może jeszcze jeden uda mi się wynegocjować i przełożyć zapłatę. Ale jeśli szybko nie znajdę zajęcia, to wkrótce wyląduję na ławce.

Nie wiem też jakie szanse mam na znalezienie jakiejkolwiek roboty. Jeśli w wypowiedzeniu wpiszą dyscyplinarkę, to skutecznie zamknie dla mnie brytyjski rynek pracy. Przynajmniej ten agencyjny. Zostaną zmywaki i robota na

czarno. Podejmując decyzję, muszę założyć najgorszy dla mnie scenariusz. Nie znam do końca tutejszych realiów i nie sądziłem, że to co robię jest tak wielką „zbrodnią” w niepisanym kodeksie pracy. Tym bardziej, że nie interesują mnie ani same firmy, ani ich nazwy. Nie szukam sensacji. Nawet jeśli moje teksty dotrą do odpowiednich służb, nawet jeśli kontrole potwierdzą łamanie praw pracowniczych, mobbing czy nawet rasizm – to zamknięcie tego czy innego magazynu niczego nie zmieni. Nie poprawi losu nieszczęsnych imigrantów. Wręcz przeciwnie, dla kilkudziesięciu lub kilkuset będzie to tragedia, bo stracą pracę. A nie tego chcę.

Pięć lub sześć kilometrów na podjęcie bardzo trudnej decyzji. Było kilka minut po północy, gdy już zbliżałem się już do domu. Ostatecznej decyzji wciąż nie podjąłem. Przyjemny zapach pieczonego kurczaka przypominał mi jak bardzo jestem głodny – przez ostatnią dobę zjadłem jedynie kanapkę. Rano nie miałem kasy, a potem zamierzałem coś wsunąć w zakładowej kantynie. Ale nawet się do niej nie zbliżyłem. Przystanąłem na chwilę, przeleciało mi przez głowę żeby wejść i coś zjeść. Wciąż miałem w kieszeni te trzy dychy, w domu też nie było nic do jedzenia. Taki zapach dla kogoś głodnego i bez kasy to tortura. Wiedziałem już co mnie czeka jeśli zdecyduję się kontynuować plan.

Weekend przeleciał błyskawicznie. Kilka osób z pracy zadzwoniło ze słowami wsparcia, byli zaskoczeni moim zwolnieniem. To bardzo budujące, dziękuję. Nie wymienię Waszych imion żebyście nie mieli kłopotów.

Nadrabiałem zaległości senne i gromadziłem kontakty. Obdzwoniłem znajomych, przygotowałem plan działania na najbliższy tydzień i zacząłem sprawdzać w praktyce swoją wymowę zdania – I’m looking for a job – szukam pracy. Robiłem wszystko żeby zająć głowę i nie pozwolić by pytanie – co dalej? – sparaliżowało moje działania. Jeśli poddam się takim myślom, to bardzo ciężko będzie potem podnieść się z łóżka i ruszyć do działania. Znam siebie.

Odwiedzałem okoliczne knajpy, fast foody i małe sklepy. Zacząłem od tych, gdzie bywałem jako klient i gdzie już mnie rozpoznawali. Właścicielami większości są Turcy, a z jednym wiele razy rozmawiałem. Poznaliśmy się, gdy kupowałem owoce. Miłośnik prozy Pamuka i zażarty przeciwnik Erdogana. Podobnie jak ja, mieliśmy więc o czym gadać. Chodziłem tak od drzwi do drzwi, od sklepu do knajpy i odwrotnie. Na pytanie czemu już nie pracuję, odpowiadałem że agencja nierzetelnie płaci i sam odszedłem.

W kilku miejscach zostawiłem swój numer telefonu. Poza tym bez większego rezultatu, ale zadowolony, że przełamałem pierwszą barierę czekałem poniedziałku.

Na terenie Zjednoczonego Królestwa funkcjonuje sieć banków żywności – food bank. Nie miałem jednak pojęcia na jakich zasadach one działają, ani jak i komu wydają tam jedzenie. Myślałem, że trzeba mieć jakieś specjalne kwitki czy skierowanie, trzeba być Anglikiem, albo mieć jakieś oficjalne pozwolenie na pobyt itp. Same wątpliwości. Postanowiłem jednak zaryzykować. W internecie znalazłem adres najbliższej placówki. Okazało się, że jest tuż obok miejsca, w którym mieszkam. W poniedziałki otwarte od 13.00 do 15.30.

Kilka minut po pierwszej zameldowałem się pod tym adresem. Zaplecze jakiegoś kościoła. Stałem kilka minut przed budynkiem zmagając się z zażenowaniem, wstydem i tremą. Nie bardzo wiedziałem nawet jak się dogadać. Składałem w głowie pojedyncze słowa, żeby ułożyć sensowne zdanie. Zerknąłem do słownika w telefonie. Robiłem wszystko żeby przedłużyć stanie i oddalić moment wejścia. Musiałem jednak iść i przynajmniej spróbować. Musiałem się przełamać – chociaż to naprawdę nie było łatwe. Z trzydziestu funtów została już tylko dycha, a jutro food bank nieczynny. Została dycha i coraz większa obawa czy dostanę jeszcze wypłatę z agencji. Są mi winni za niecałe dwa tygodnie pracy, ale jeśli poczuli się tak dotknięci tym, że podniosłem głos na managera i wpiszą mi dyscyplinarkę? Cholera wie, mam dychę i najmniejszej pewności czy ujrzę

kiedykolwiek swoje pieniądze.

Ledwo i wbrew swojej chęci natychmiastowego odwrotu, przełamałem wszelkie opory i pewnym krokiem wszedłem. Pewny krok zmniejsza treść. Kobieta w średnim wieku zapytała w czym może pomóc. Powiedziałem, że jestem głodny, nie mam już pracy i mieszkam w Anglii od pół roku. Spytała czy mam bilety albo voucher. Nie miałem i przekonany, że nic już nie uzyskam zamierzałem wyjść, ale przytrzymała mnie za łokieć i pokazał przez okno budynek naprzeciwko – jakiś urząd, chyba Council. Powiedziała żeby tam poszedł, w okienku dadzą mi voucher, a bilety oni już tutaj wyrobią. Super, pomyślałem chociaż nie bardzo wiedziałem o co chodzi, postanowiłem wykonać jej polecenie. Pod drzwiami urzędu podprowadził mnie nawet jeden mężczyzna, który wyszedł obarczony siatkami.

Pani w okienku zapytała o moje dane, od ręki wystawiła czerwony voucher i z tym kwitkiem wróciłem do food banku. Trwało to nie dłużej niż pięć minut. A same formalności może dwie minuty.

Na miejscu kilka wolontariuszek zajmowało się obsługą. Sala wypełniona była ludźmi, najwyraźniej wszyscy już się znali. Siadłem nieśmiało – chciałem w rogu, ale stół był okrągły – i czekałem. Jedna zapytała czy chcę kawę czy herbatę, poprosiłem herbatę. Kolejna przysiadła się obok i zaczęła wypełniać mój kwestionariusz. Ponownie podałem swoje dane, co ważne nikt nie chciał żadnego dokumentu. Wciąż jednak nie wiedziałem czy coś dostanę, czy odejdę jedynie z kwitkiem.

Po wypełnieniu papierów kobieta powiedziała, że mogę sobie spokojnie wypić herbatę, siedzieć jak długo chcę i ponownie przyjść we środę. Nic już nie rozumiałem, dali herbatę, pozwolili posiedzieć i zaprosili na środę? Fajnie, chociaż liczyłem na żarcie. Przypomniał mi się film „Ja, Daniel Blake” i zmagania bohatera z tego typu placówkami i pracownikami pomocowymi.

Zdezorientowany szykowałem się już do wyjścia, kiedy podsunęły w moim kierunku wózek wypełniony siatkami z jedzeniem. Ta, która spisała mój kwestionariusz powiedziała, że to racja na trzy dni i że kolejną dostanę we środę. Pięć toreb pełnych jedzenia i siatka chemii. Ilość tak duża, że nawet pracując nie mógłbym sobie na to wszystko pozwolić. Nawet kawa, sok jabłkowy, kilka paczek ciastek i cukierki. Mimo, że niedaleko od mojego mieszkania, to i tak trzy razy stawałem żeby odpocząć. Nie mogłem uwierzyć. Coś jednak tu działa. I to naprawdę dobrze. Jeden problem odpadł – głodować nie będę.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info